

WANDA MIŁASZEWSKA

Cmentarz i sad

25)

Takich samych, być może mniej wytwornych lamp używano w Bożej Woli od niepamiętnych czasów. Z mroku przeszłości wytknęło się raptem jakieś wspomnienie bardzo odległe. Schylone nad robotą mej matki, w obramowaniu gładkich, lśniących włosów, kłęby dymu z fajki wujaszka i głos stryja Karola, monologujący gdzieś z głębin staromodnego fotela:

— Właściwie, takie światło możliwe jest tylko w polskich dworach, gdzie wszystko nasiąkło tradycją. Każda bieliźniarka pachnie lawendą, a każda bawialnia naftą. A jednak w tem niema nic z martwoty sztucznego, elektrycznego światła. Właśnie dlatego, że plomyk drga ustawicznie — cienie żyją. Nawet odwieczne portrety na ścianach zmieniają wyraz i ruch. To ładne, choć czasem aż męczy...

Ja, mały bąk kilkoletni, słuchałem wówczas, nie słysząc, cały przejęty klejeniem tekturowych wojaków na zielonych podstawkach. Jakim sposobem każdy szczegół tej chwili przeniknął do wiadomości i teraz, po tylu latach z niej się wylonił niespamiętanym, a tak wyraźnym obrazem?

Panna Bielawska podniosła się z lekkim szelestem swojej taftowej kokardy we włosach i rzekła:

— Tak się ładnie przemarzyło tych kilkanaście minut. Oboje myśleliśmy z pewnością o czem innym, a przecież...

— Tak — odrzekłem — tak bywa.

— Dobranoc, panie Jerzy. W salonie cisza, wszyscy musieli dawno się rozejść. Powinam iść.

— Dobranoc pani.

Już nie pocałowałem po raz wtóry wyciągniętej na pożegnanie ręki. Po wyjściu panny Meli dobiegł mnie jeszcze urywek rozmowy w przedpokoju. To mama Bielawska przeprowadzała śledztwo:

— Gdzieżeś ty była, Melu, tyle czasu?

— U siebie, mamo.

— U siebie? Cóż to znowu za jakieś nowe wybryki?

— Mamo! To tak przyjemnie posiedzieć czasem chwilę sam na sam ze sobą, podumać...

Sądzę, że panna Mela nie skłamała wówczas przed matką. Siedziała w swoim pokoju i była naprawdę sama.

XVI.

„Od soboty konie czekają codzień na stacji” — pomyślałem, zbudzony, jak zawsze od pewnego czasu, dźwiękami fortepianu.

Panna Mela Bielawska grała codziennie z rana pasażerki i gamy po dwie i trzy godziny zrzędu. Nagle, od owej wieczornej godziny, którąśmy razem przemilczeli, pożyteczny, acz niekoniecznie pożądany system uległ kategorycznym reformom. Obowiązkowe gamy zamęcały ciszy, natomiast dane mi było usłyszeć ten Szopenowski utwór, w którym tak ślicznie przewija się motyw kołedy „Lulajże, Jezuniu”. Potem wieko fortepianu opadło z trzaskiem, a przez drzwi zamknięte doleciał głos panny Bielawskiej:

— Dzień dobry panu!

— Dzień dobry.

— Co pan zamierza robić ze sobą przed obiadem? Możebyśmy tak poszli na wystawę obrazów?

Zgodziłem się odrazu. Właśnie — miałem aż nadto wolnego czasu. O wyjeździe do Bożej Woli przestałem myśleć. Bo i pocóż? Mieszać się do spraw gospodarskich nie miałem zamiaru. Zresztą — służyłem w wojsku, urlop

mój kończył się za kilka tygodni. Do rolnictwa nigdy nie czulem powołania. Jedynym magnesem, przyciągającym mnie ku Bożej Woli, był zawsze i tylko wujaszek Klemens, tak jak dla stryja Karola stanowiła ten magnes moja matka. Jeżeli jechałem do kraju ze drżeniem niecierpliwego wyczekiwania, to dlatego, by prędzej uściskać mojego drogiego wujaszka. Teraz, po liście Górskiego, wspomnienie samo Bożej Woli, zawsze kochane i prawie święte, stało się tylko bolesne.

Nazajutrz po otrzymaniu wieści żalobnej udałem się do sztabu i poprosiłem o jakikolwiek przydział, byle prędko mieć pewność, że nie będę zmuszony myśleć, co robić ze sobą, — że ze mną będą robili, co zechcą...

Odpowiedziano mi, że w ciągu dwóch tygodni (dwóch tygodni!) otrzymam zawiadomienie. Tymczasem — miałem jeszcze swobodę, za którą bynajmniej nie czulem wdzięczności do losów. Interesy spadkowe, różne tam formalności, niedopelnione w ciągu ostatnich pięciu lat, nie zapełniały mi dnia całkowicie. Pozostawało grubo za wiele czasu na smutne rozmyślenia. Z konieczności zacząłem poszukiwać towarzystwa ludzi, nawet towarzystwa narzucających się mocno pań Bielawskich.

„Mamusia” najwidoczniej zmieniła taktykę. Witła mnie teraz z cukrowym uśmiechem, a do znajomych nie odzywała się o mnie inaczej, jak „ten drogi, kochany porucznik”. Awansowałem nawet na kuzyna. Bo przecież przez tego nieodżałowanego s. p. Karola... etc. etc. Zarządziła mi nawet razieć ta nagła serdeczność, chęć doszukiwania koligacji, zachwyty, wyrażane o całej mojej wymarłej rodzinie, która mama Bielawska, jestem przekonany, nie miała przyjemności znać w swem życiu.

— Czy to aby nie wielkie połowanie na dobrą partię? — pomyślałem raz, drugi i poczęłem bacznie przypatrywać się obu „córkom na wydaniu”.

Tryb ich życia, zarówno jak charakter, nawet uroda, był mocno odmienny. Panna Mela dokształcała się na jakiś kursach, chodziła na odczyty z dziedziny literatury i na koncerty. Młodszą zdawało się interesować tylko ogrodnictwo. Nie można z nią było rozmawiać o niczem innym, jak o wczesnych flanchach i szczepieniu drzewek. Parokrotnie spotkałem ją na schodach, powracającą ze swoich „ćwiczeń” ogrodowych. Dąwiła prawie zawsze jakieś brzemie gałązek nagich i brzydkich — istną naręcz chróstu na podpałkę.

— Zobacz pan, jak one ślicznie rozwijają się w wazonie! Na Wielkanoc wszędzie pełno tych „bazi” na ulicach, ale wtedy to ja już będę miała u siebie zielone gałązki!

Panna Mela z pobłażaniem mówiła zawsze o siostrze. Ona sama była inteligentna i trochę niesamowita... Cechna to tylko zwykle dziewczętko, bardzo poczciwe, ale bardzo zwyczajne.

Kilkakrotnie starała się starsza panna Bielawska wyciągnąć mnie na rozmowę „zasadniczą” o różnych kwestiach życiowych. Zostałem powiadomiony, że mocno interesuje ją spirytyzm, mediumizm, okultyzm... wogóle, te różne „izmy” których namnożyło się tyle w ostatnich czasach. Kiedyś, zbadawszy mi z namaszczeniem linie na ręku, oznajmiła uroczyście:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ilustrowany Przegląd Katolicki

Ojców mowy — Ojców wiary — Bronmy zgodni — Młody — Stary

Nr. 47

HERNE, 20 listopada 1938

Rok VII

KONSTANTY DAMROT

PRZY GŁOSIE DZWONU

Gdy spoczywającym dzwonek

Zapowiada nowy dzionek,

We mnie echem się odbija:

Zdrowaś bądź, Marya!

Gdy śród pracy i upału

Dzwonek spocząć każe ciało,

We mnie echem się odbija:

Zdrowaś bądź, Marya!

Gdy zaś dzwon po dziennym znoju

Skrzętnych wzywa do spokoju,

We mnie echem się odbija:

Zdrowaś bądź, Marya!

Gdy głos dzwonu tkliwo-lzawy

Młęsza się ze zglełkiem wrzawy,

We mnie echem się odbija:

Zdrowaś bądź, Marya!

Gdy mi na łożu boleści

Dźwilkę swoim ucho pleści,

W duszy echo się odbija:

Zdrowaś bądź, Marya!

Gdy się łzami wilgą oczy,

Przyszłość się przedemną mroczy,

Dzwonek w duszy się odbija:

Zdrowaś bądź, Marya!

Czy mnie straszą burzy grotły,

Czy pokusy lub zgryzoty,

W duszy zawsze się odbija:

Zdrowaś bądź, Marya!

A gdy śmierć przedemną stanie,

W dzwon uderzą na konanie,

Niech się jeszcze raz odbija:

Zdrowaś bądź, Marya!

Przedpłata miesięczna „Przeglądu Katolickiego” wraz z jednym numerem codziennej gazety wynosi mk. 8,60. Zamówić można „Przegląd” na każdej poczcie lub u listowego. Drukem i nakładem spółki wydawniczej Sztandar Polaki G.m.b.H. Herne / Za redakcją odpowiada: Stanisława Kwiatkowska / Poostowe konto czekowe: Dortmund 16619 / Telefon 80960